

Ukraińskie rolnictwo a polski przemysł – partnerstwo w rozwoju?



Bartosz Urbaniak

Szef Bankowości Agro BNP Paribas na Europę Środkowo-Wschodnią i Afrykę

Tak jak polski przemysł jest jednym z najważniejszych poddostawców dla niemieckiego sektora *automotive*, z czego korzyści czerpią obydwie strony, tak też ukraińskie produkty rolne mogą być motorem napędowym naszego przemysłu rolno-spożywczego, należącego do największych i najnowocześniejszych w skali Europy. W jaki sposób osiągać synergie z naszymi wschodnimi sąsiadami? Co oznacza to dla polskich rolników i kiedy pozytywny scenariusz stanie się możliwy? Jakie są strategiczne interesy rozwojowe Polski?

Rozmowę prowadzi Marcin Wandałowski – redaktor Kongresu Obywatelskiego.

Jakie implikacje niesie za sobą import ukraińskiego zboża do Polski – zarówno z perspektywy naszej, jak i Kijowa?

Zacznijmy od punktu widzenia naszych wschodnich sąsiadów. Ukraina musi sprzedawać swoje zboże na rynkach zagranicznych, gdyż jest to jej podstawowy produkt eksportowy – zarówno teraz, jak i w nadchodzących latach. Nawet bowiem, jeśli wojna będzie trwała dalej i Rosjanie konsekwentnie będą niszczyli infrastrukturę produkcyjno-przeładunkową, to jednak z pewnością nie uda im się zniszczyć tysięcy hektarów ziemi.

Większość ukraińskiego eksportu rolnego jest kierowana na rynki wschodnie, przede wszystkim azjatyckie, a także afrykańskie. W tym roku sprzedaż zagraniczna zbóż będzie w Ukrainie wynosiła około 31-32 mln ton, z czego do Europy trafi 3-6 mln ton, czyli 10-20% całej produkcji. Miejmy zatem na uwadze, że nie grozi nam scenariusz, w którym całość ukraińskich zbóż trafia na rynek Starego Kontynentu. Zapewne Ukraińcy będą chcieli wysyłać ich tu więcej niż dotychczas, gdyż jest to rynek najbogatszych konsumentów świata, przynoszący profity sprzedającym, lecz zarazem jest to rynek, który stawia bardzo wysokie wymogi.

”

Nie grozi nam scenariusz, w którym całość ukraińskich zbóż trafia na rynek Starego Kontynentu. Większość z nich jest kierowana na rynki wschodnie, przede wszystkim azjatyckie, a także afrykańskie, a do Europy trafia jedynie 10-20% z nich.

W jakim zakresie?

Unia Europejska narzuca bardzo wysokie wymogi jakościowe, jeśli chodzi o produkowane tu i sprowadzane produkty spożywcze. Dotyczą one *de facto* każdego etapu produkcji żywności. I tak też, dopuszczalna przez UE paleta środków ochrony roślin jest dwu-trzykrotnie węższa od tej, jaką stosują dziś ukraińscy rolnicy.

Oznacza to, że zboże, które zostało wyprodukowane za naszą wschodnią granicą przy wykorzystaniu środków nieakceptowanych przez Brukselę, nie będzie mogło wjechać na teren Wspólnoty.

”

Unia Europejska narzuca bardzo wysokie wymagania jakościowe, jeśli chodzi o produkowane tu i sprowadzane produkty spożywcze. Dotyczą one de facto każdego etapu produkcji żywności.

Na europejski rynek trafia zatem „lepsza” część tego, co jest produkowane w Ukrainie. Ukraińcom zależy na tym, by zwiększać pulę eksportu na rynek unijny, jednak po pierwsze cały czas mają oni swoje zobowiązania na innych rynkach i nierozsądne z punktu widzenia ich strategii gospodarczej byłoby rezygnowanie z relacji handlowych z Chinami, innymi azjatyckimi potęgami czy państwami afrykańskimi. Po drugie, nawet jeśli Ukraina będzie chciała eksportować większe ilości zboża do Europy, to realizacja tych zamierzeń nie będzie możliwa od razu. Pamiętajmy bowiem, że aktywny czynnik chemiczny, znajdujący się w środkach ochrony roślin czy w nawozach, „zostaje” w ziemi na kolejnych kilka lat, co jest nieakceptowalne z unijnej perspektywy.

Przyjmijmy ten chłodny – obiektywny punkt widzenia. Jaka zatem powinna być polityka Polski wobec ukraińskiego głodu eksportowego?

Uważam, że nie powinniśmy traktować sąsiedztwa z Ukrainą jako dopustu bożego, tylko jako ciekawe wyzwanie, z którego możemy wynieść spore korzyści. To prawda, że nasi sąsiedzi mają jedne z najlepszych na świecie warunków do uprawy wielu płodów rolnych, w szczególności zbóż, a także ogromne arealy ziemi. Ale przecież Polska ma z kolei bardzo nowoczesny – jeśli nie najnowocześniejszy w Europie – przemysł rolno-spożywczy, w dużej mierze wybudowany bądź zmodernizowany za pieniądze unijne.

”

Ukrainę charakteryzują jedne z najlepszych na świecie warunki do uprawy wielu płodów rolnych, w szczególności zbóż, a także ogromne arealy ziemi. Polska ma z kolei bardzo nowoczesny – jeśli nie najnowocześniejszy w Europie – przemysł rolno-spożywczy. Warto połączyć te potencjały.

Gdy do powyższych informacji dodamy, że według Głównego Urzędu Statystycznego nowoczesny polski przemysł spożywczy pracuje dziś na 55-60% mocy, to nietrudno dojść do wniosku, że być może warto byłoby połączyć ze sobą potencjał ukraiński z polskim, a konkretniej: zasilać m.in. zbożami zza wschodniej granicy nasz przemysł. Ten układ jawi się jako korzystny zarówno dla nas, jak i dla naszych sąsiadów – z jednej strony Ukraińcy otrzymywaliby za swoje produkty rolne wyższą zapłatę niż na rynkach azjatyckich czy afrykańskich, a z drugiej strony polskie firmy produkcyjne o profilu spożywczym, które produkują dziś żywność dla około 80 mln Europejczyków i mają wyrobioną renomę i markę, mogłyby rozszerzyć swoją produkcję, a co za tym idzie – eksport.

Co jest „produktem firmowym” polskich przedsiębiorstw z tej branży?

Mają one ugruntowaną opinię solidnego producenta żywności prostej, ale bezpiecznej. Powstają u nas różnego rodzaju nuggetsy, dania gotowe, chipsy, frytki, produkty mączne, jak np. makarony, i wiele, wiele innych. Co ciekawe, jesteśmy też jednym z największych producentów czekolady i kawy w Europie – wiadomo, że nie rosną u nas kakaowce, więc świadczy to o tym, że już teraz przetwarza się u nas z sukcesem, na skalę międzynarodową, także artykuły rolne, które nie mają szans wyrosnąć na naszej ziemi.

Czy nie ma ryzyka, że wytwarzając artykuły spożywcze na bazie ukraińskich produktów rolnych, reputacja polskich producentów żywności mogłaby ucierpieć? Wszak europejski konsument może woleć – dla przykładu – makaron powstały wyłącznie na bazie unijnych upraw.

Unia Europejska ma swoje pryncypia, z którymi raczej się nie rozstaje, a jednym z nich jest bezpieczeństwo konsumenta. Nie sądzę, by miała ona coś przeciwko importowi zboża z Ukrainy, o ile oczywiście będzie ono odpowiedniej jakości. Na dalszym etapie unijny przedsiębiorca je przerobi i weźmie odpowiedzialność za jakość produktu końcowego. Jeśli natomiast chodzi o odbiorcę – będzie on widział na etykiecie, że dany towar został wyprodukowany na terenie UE. Ze swojej perspektywy będzie mógł on się zatem czuć bezpiecznie, mając świadomość, że nawet jeśli zboże weszło na europejski rynek z Ukrainy, to ręczy za nie uznany, licencjonowany unijny producent, który musi przestrzegać panujących na obszarze Wspólnoty norm jakościowych.

W jaki sposób można byłoby dokonać sojuszu gospodarczego Polski z Ukrainą, którego wizję Pan rozacza, w szczególności mając na uwadze tarcia, jakich doświadczamy ostatnio w związku z embargiem na import zboża?

Wydaje mi się, że w omawianym zakresie polsko-ukraiński sojusz biznesowy ma już miejsce od pewnego czasu. Przypomnę, że nie tak dawno polski rząd z dumą przedstawiał dane dotyczące ilości zboża, które napłynęło z Ukrainy do Polski. Wiadomo przecież, że nie sprowadzili go tu polscy rolnicy, lecz podmioty, które go potrzebowały, a zatem w głównej mierze przedsiębiorstwa z branży przemysłu rolno-spożywczego.

Polski przemysł nie od dziś współpracuje z ukraińskim rolnictwem, nie jest to zatem układ, który należałoby zainicjować, ale raczej coś, czego powinniśmy przestać się wstydić i dalej rozwijać z troską o nasze interesy. Obecnie – w dobie embarga na import m.in. pszenicy – mamy bowiem do czynienia z sytuacją, w której wszyscy udają, że ukraińskie zboża nie są nam wcale potrzebne. A to nieprawda – już od paru sezonów importowaliśmy z Ukrainy chociażby kukurydzę, by utrzymać obecny poziom produkcji, powinniśmy tę relację handlową zachować.

”

Polski przemysł nie od dziś współpracuje z ukraińskim rolnictwem, nie jest to zatem układ, który należałoby zainicjować, ale raczej coś, czego powinniśmy przestać się wstydić i dalej rozwijać z troską o nasze interesy. Obecnie – w dobie embarga na import m.in. pszenicy – mamy bowiem do czynienia z sytuacją, w której wszyscy udają, że ukraińskie zboża wcale nie są nam potrzebne. A to nieprawda.

Pozwolę sobie na dygresję. Może nieco kontrowersyjną. Wprowadzone przez kilka rządów unijnych, m.in. polski, embargo na import zbóż z Ukrainy nie jest rozwiązaniem, które dało jakiegokolwiek wymierne korzyści dla polskich rolników. Zakładam, że celem była ochrona dochodów rolniczych poprzez zapobiegnięcie dalszemu spadkowi cen, a nawet sprowokowanie do ich podniesienia. Tak się jednak nie stało. Obserwuję sytuację na rynku i muszę przyznać, że ceny nadal spadają (zgodnie z trendami globalnymi), niejako „nie przejmując się” polskim embargiem. Czyli skorzystaliśmy z narzędzia, które nie dało realnych korzyści polskiemu rolnictwu, za to spowodowało wymierne problemy walczącej z agresorem Ukrainie. Idźmy dalej, czyli zastanówmy się, kto zdestabilizował rynek, nadając mu spadkowy trend w skali świata. W zeszłym sezonie to Rosja miała rekordowe zbiory zbóż, którymi wręcz zalała światowy rynek. „Ukaraliśmy” zatem nie tego, który był winny, a dodatkowo nie daliśmy realnej ochrony polskim rolnikom. Może zamiast tego, lepiej było zapewnić im bezpośrednio wsparcie np. jednorazowe dopłaty?

Wróćmy jednak do Pańskiego pytania. Powiązania między polską produkcją żywności a ukraińskimi płodami rolnymi najlepiej widać na przykładzie importu kukurydzy i soi. Ich mieszanka służy jako pasza dla kurczaków, a w obszarze ich hodowli Polska jest absolutnym hegemonem – nie tylko w Europie, ale i na świecie. Jesteśmy jednym z największych producentów i eksporterów drobiu, co oznacza że rokrocznie potrzebujemy milionów ton kukurydzy i soi. Ukraińcy z kolei produkują ogromne ilości kukurydzy i – w przeciwieństwie do nas – mają warunki klimatyczne do uprawy soi. Co więcej, podjęli oni niegdyś bardzo trafną decyzję, w myśl której ich uprawy rolne są wolne od GMO, czyli modyfikacji genetycznych. Warunki do uprawy są tam tak dobre, że modyfikacje te nie są Ukraińcom zwyczajnie potrzebne. Gdybyśmy natomiast mieli być zdani tylko na siebie, to – jak wspominałem – sami soi nie wyprodukujemy, natomiast kukurydzę owszem, tyle że w znacznie mniejszych ilościach, niż wynosi zapotrzebowanie naszego przemysłu drobiarskiego.

Można zatem powiedzieć, że Ukraina jest kluczowym „poddostawcą” dla nowoczesnego polskiego przemysłu spożywczego. Przywodzi mi to na myśl polskie firmy z obszaru *automotive* współpracujące z niemieckimi koncernami samochodowymi.

Jeżeli spojrzemy na tę relację z perspektywy łańcucha wartości, to faktycznie – Ukraińcy dostarczają nam przede wszystkim nieprzetworzone płody rolne, natomiast polskie firmy zajmują się ich przetwarzaniem, czyli działają na dalszych etapach łańcucha. Na przykładzie hodowli drobiu: sprowadzamy od sąsiadów kukurydzę, a następnie na pierwszym etapie przetwórstwa przerabiamy ją na paszę, na drugim – karmimy nią kurczaki, a na trzecim, cóż, uśmiercamy je. Następnie zajmujemy się ich rozporcjowaniem, przerobieniem m.in. na kotlety czy mięso mielone oraz pakowaniem, zajmując kolejne ogniwa łańcucha.

Obrazowo rzecz ujmując, opisywaną relację biznesową można przedstawić w taki sposób, że z Ukrainy przyjeżdżają do nas wagony ze zbożem, po czym my wysyłamy na Zachód Europy wagony z estetycznie zapakowanymi kotletami z logiem znanej marki.



Z Ukrainy przyjeżdżają do nas wagony ze zbożem, po czym my wysyłamy na Zachód Europy wagony z estetycznie zapakowanymi kotletami z logiem znanej marki.

Bez wątpienia na współpracy z Ukrainą skorzystać mogą nasze przedsiębiorstwa przemysłowe z branży spożywczej. Czy w takim modelu nie będą jednak zagrożone interesy polskich rolników?

Istotą dobrobytu i *prosperity* jest stały, konsekwentny rozwój. Podejście „niech będzie tak jak jest, nie zmieniamy nic” jest przepisem na biznesową klęskę. To zależność, która sprawdza się w 100%, o czym przekonywali się zarówno światowi giganci, jak np. Kodak, jak również małe warsztaty czy gospodarstwa rolne. Zmieniają się uwarunkowania gospodarcze i polityczne, więc trzeba się do nich dostosowywać. Dzięki splotowi okoliczności międzynarodowych, geopolitycznych, i znakomitym wyborom, jakich dokonaliśmy my sami – Polacy – w najnowszej historii, Polska wyszła z dziejowego narożnika. Nie musimy już tylko unikać ciosów, czy też brać ich „na gardę”, mamy przestrzeń na decyzję, jaki ruch chcemy wykonać. To okoliczność niespotykana praktycznie od końca XVII wieku. Mogę zrozumieć, że mamy trudności (typowe dla debiutanta) z uczestnictwem w kreowaniu kształtu świata czy Europy. Nie powinniśmy jednak z tej szansy rezygnować. Nie da się zbudować dobrej przyszłości na obronie *status quo*. Wykonajmy ten postępek nie poprzez naśladowanie, kopiowanie czy dostosowywanie się do tego, co inni zdecydują. Zamiast tego, wejdźmy na wyższy poziom i weźmy udział w tworzeniu wspólnej przyszłości.

Ukraina jako dobrze zorganizowana część Zachodu pod względem politycznym gospodarczym i kulturowym to lepszy interes dla Polski niż Ukraina poza tym systemem. Nie osiągnie się tego bez kompromisów, partnerstwa, dogadywania się. Co więcej, nasze relacje będą wymagać dbania o nie, bo nieuchronnie będą ewoluować. Polski sektor produkcji żywności i jego otoczenie ma przed sobą szereg szans na odniesienie korzyści. Zadbajmy o to.

To mój długi wstęp do stosunkowo prostej odpowiedzi – interesy polskich rolników nie tylko nie będą zagrożone, a wręcz będą rozkwitały, jeśli pójdziemy w stronę jakości. Mamy kilkadziesiąt lat doświadczenia w zaopatrywaniu europejskich stołów. Europejczycy to najbardziej wymagający konsumenci, gotowi jednak za tę jakość dobrze płacić. Na europejskim rynku żywnościowym widzimy potężne przemiany rozpędzające ten rynek w stronę świadomej, mającej wysokie oczekiwania, konsumpcji. Współczesny unijny klient chce wiedzieć, gdzie i jak wyprodukowano dla niego żywność. Najlepiej, aby były to metody ekologiczne, biodynamiczne, z poszanowaniem natury i praw zwierząt. Możemy to zrobić, ba, już to robimy. Pora mocniej pójść w te strony.

Niewiele osób jest świadomych, że w ostatnich latach powstał w Polsce – praktycznie od zera – rynek żywności wyższej jakości, który z każdym kolejnym rokiem będzie dalej rósł, stanowiąc doskonałą przestrzeń do zagospodarowania przez polskich rolników. Jego zwieńczeniem jest oczywiście żywność ekologiczna, natomiast nie oszukujmy się – niewykonalnym jest przebranzowienie wszystkich polskich „tradycyjnych” rolników na rolników ekologicznych. W tym miejscu warto przypomnieć, że UE oczekuje, że około 25% produkcji rolnej każdego kraju członkowskiego powinna być ekologiczna. Czy jest to wykonalne? Austria, posiadająca całkiem zbliżone warunki uprawowe do polskich, udowodniła, że tak.

Jak szeroki jest dziś rynek żywności ekologicznej?

Statystyczny Polak wydaje na tego typu produkty 7 euro w skali roku. W krajach wyżej rozwiniętych, takich jak Dania czy Francja, kwota ta przekracza 350 euro, natomiast we wspomnianej Austrii czy Niemczech zbliża się do 400 euro. Pamiętajmy – żywność eko jest tu tylko przykładem, będąc jedynie częścią rynku żywności wysokiej jakości.

Mając na uwadze to, w jak wielu sklepach można dziś spotkać nie tyle produkty, co całe półki z produktami eko, aż nie chce się wierzyć, że przeciętny Polak wydaje na nie równowartość 30-kilku złotych rocznie.

To zdziwienie może wynikać z tego, że żyjemy w wielkomiejskich bańkach – w obszarze sprzedaży żywności ekologicznej prym w skali kraju wiodą bowiem największe metropolie pokroju Warszawy, Trójmiasta, Wrocławia czy Krakowa. Poza nimi popyt na produkty ekologiczne jest znacząco mniejszy.

Pozostając natomiast przy kwestii popytu – rynek żywności wysokojakościowej, w tym ekologicznej, cały czas rośnie i to nie tylko w Polsce, lecz *de facto* w całej Europie. Nawet w krajach i społeczeństwach najbardziej świadomych ekologicznie, znajdujących się w awangardzie zdrowego odżywiania, będących na już wysokim poziomie, wydatki na bio-żywność wzrosną w nadchodzących latach dwu-trzykrotnie. Podobne zjawisko obserwowaliśmy niedawno, jeśli chodzi o modę na lokalność. Widzimy ją zresztą nadal – nie miała ona chwilowego charakteru.

Polski konsument nie kupuje jeszcze artykułów spożywczych takiej jakości jak na Zachodzie, jednak jestem przekonany, że niebawem sytuacja ta ulegnie zmianie. Stajemy się coraz bogatsi i praktycznie powielamy postawy konsumenckie Zachodu. Skoro na przestrzeni ostatnich lat byliśmy w stanie nabywać takie same pralki, telewizory czy smartfony jak w krajach najwyżej rozwiniętych, to dlaczego – będąc coraz bardziej dojrzałymi konsumentami – mielibyśmy zrezygnować z wysokojakościowej żywności?



Skoro na przestrzeni ostatnich lat byliśmy w stanie nabywać takie same pralki, telewizory czy smartfony jak w krajach najwyżej rozwiniętych, to dlaczego – będąc coraz bardziej dojrzałymi konsumentami – mielibyśmy zrezygnować z wysokojakościowej żywności?

Szczególnie, gdy podkreśli się jej pozytywny wymiar zdrowotny...

Owszem – gdy spojrzymy na społeczeństwa, które wydają na żywność najwięcej, a są nimi m.in. Francuzi, Włosi czy Japończycy, to zauważymy korelację z przeciętną długością życia oraz ogólnym poziomem zdrowia. To są kraje, gdzie przeciętna długość życia jest o parę lat wyższa niż w krajach o takim samym poziomie

rozwoju, ale gdzie wydaje się proporcjonalnie mniej na żywność. Te trzy kraje mają największe wydatki na żywność na mieszkańca i najwyższą długość życia na mieszkańca. Powiedzenie „jesteś tym, co jesz” sprawdza się w ich wypadku doskonale.

Myśli Pan, że jesteście już gotowi na zdrową – lecz zarazem droższą – żywność?

Jestem w stanie przedstawić wiele historii świadczących o tym, że odpowiedź brzmi: „tak”. Dla przykładu – jeden z polskich producentów kurczaków zagrodowych, opierający swój model biznesowy na ich eksporcie do państw zachodnich, wprowadził sygnałnie pewne ich ilości do polskich sklepów. Mięso to było znacznie droższe, dwa razy na pewno, jeśli nie trochę więcej, od oferowanego w standardowej ofercie. Mimo to – zostało dosłownie wymiecione z półek sklepowych jak świeże bułeczki. Pokazuje to, że wielu Polaków jest jak najbardziej w stanie zapłacić więcej za jakość. Dodajmy, kurczaki te są już w stałej ofercie.

Konsument, który idąc na zakupy spożywcze kieruje się tylko i wyłącznie kryterium ceny, postępuje nierozsądnie, gdyż żywność jest właściwie jedyną substancją, jaką w dużych ilościach wprowadzamy przez całe życie do naszych organizmów. Dziennie zjadamy około 700 gramów pokarmu, czyli – zakładając długość życia 80 lat – będzie to około 245 ton żywności, jaką zjemy przez nasze życie. Jest to waga 10 pełnych kontenerów albo 6 domów jednorodzinnych w technologii kanadyjskiej. Nawiasem mówiąc przeciętny Europejczyk w ciągu swojego życia zjada około 7 tysięcy zwierząt. Warto o tym czasem pomyśleć.

A zatem – jakość naszego życia i jakość naszego organizmu zależą w bardzo dużej mierze od pokarmu, jaki spożywamy. Mam wrażenie, że coraz więcej Polaków jest tego świadomych.

Wróćmy jednak do pytania o perspektywy polskich rolników. Jak rozumiem, zmierza Pan do wniosku, że w ich interesie nie leży konkurowanie ze słabo rozwiniętym rolnictwem ukraińskim, że potrzebujemy swego rodzaju „skoku do przodu” – sytuacji, w której wejdziemy bardziej powszechnie na perspektywiczny i wysokomarżowy rynek rolnictwa wysokiej jakości. Czy polscy rolnicy mają jednak świadomość tych szans? Czy będą potrafili je wykorzystać?

Paradoksem jest, że większość tej żywności jest w tym momencie do Polski importowana, stąd też stwarza to dla polskich rolników szerokie pole do zagospodarowania. Pokusiłbym się nawet o stwierdzenie, że charakter polskiego rolnictwa – w którym gospodarstwa są znacznie mniejsze niż np. w Ukrainie, gdzie nadal dużo prac wykonuje się w sposób manualny – sprzyja przejściu pewnej jego części na metody ekologiczne czy „rzemieślnicze”. Co więcej, coraz bardziej restrykcyjne oczekiwania oraz przepisy unijne niejako „spychają” ten sektor na ścieżkę ekologiczno-organiczną, a już na pewno przyjazną klimatycznie.

Reasumując, tak jak Ukraińcy są w stanie zagwarantować ilość produkcji rolniczej, tak my – jej jakość. Będąc związanym z przemysłem rolno-spożywczym od 30 lat i odpowiadając obecnie w BNP Paribas za rynek europejski, afrykański oraz Turcję, jestem o tym absolutnie przekonany. Dla przykładu – polskie truskawki są nie do pobicia, podobnie jak jabłka, maliny czy jagody. Mógłbym znaleźć znacznie więcej naszych produktów, które są cenione na rynkach zagranicznych. Wszystkie one nie są tanie – należą do najdroższych – jednak wygrywają z konkurencją, gdyż smak i aromat, czyli jakość, wielu polskich owoców i warzyw jest na dużo wyższym poziomie od tych wyhodowanych w innych krajach.

”

Tak jak Ukraińcy są w stanie zagwarantować ilość produkcji rolniczej, tak my – jej jakość. Mogę wymienić wiele naszych płodów rolnych, które są cenione na rynkach zagranicznych. Wszystkie one nie są tanie – należą do najdroższych – jednak wygrywają z konkurencją za sprawą jakości.

W przedstawionej przez Pana wizji, strategia dla polskiego rolnictwa opiera się więc na uprawach ekologicznych, stanowiących do 25% sektora, uzupełnionych przez rolnictwo bez przedrostka „bio”, lecz również stawiającego na bardzo wysoką jakość. Czy dobrze to rozumiem?

Tak – reżim ekologiczny jest najtrudniejszym do osiągnięcia, gdyż wyklucza chemiczną ochronę roślin oraz ich nawożenie. Łatwiej jest prowadzić uprawy organiczne czy biodynamiczne, charakteryzujące się bardzo niskimi dawkami nawozów oraz środków ochronnych. Nie widzę przeciwwskazań do tego, by wielu polskich producentów rolnych weszło w ten właśnie obszar produkcji – myślę, że to dla nich najlepsza ścieżka, i to niezależnie od tego, jak dalej potoczą się nasze relacje z Ukrainą.

O autorze

Bartosz Urbaniak – szef Bankowości Agro BNP Paribas na Europę Środkowo-Wschodnią i Afrykę. Absolwent bankowości na Wydziale Finansów i Statystyki Szkoły Głównej Handlowej oraz studiów podyplomowych na Uniwersytecie Rolnictwa i Medycyny Weterynaryjnej w Obihiro w Japonii. Uczestnik i absolwent wielu szkoleń i programów edukacyjnych, m.in. Harvard Business School, IESE, Ashridge College. Na początku swojej kariery zawodowej (w latach 1995–2001) związany był z Warszawską Giełdą Towarową, pełniąc wiele funkcji, od praktykanta w momencie tworzenia WGT do Wiceprezesa Zarządu w 1999–2001. W latach 2001–2002 pracował w Agencji Rynku Rolnego, gdzie był zastępcą dyrektora Biura Interwencji Rynkowej oraz pełnił funkcję Dyrektora ds. Produktów Roślinnych. Od 2002 roku na stałe związany z Bankiem BGŻ.

Partnerzy



Pomorski Fundusz Rozwoju
sp. z o.o. z siedzibą w Gdańsku



Partnerzy numeru

